

POWROTY DO KORZENI

Z LEONARDEM TURKOWSKIM rozmawia Edward Pawlak



Leonard Turkowski

– W „Powrotach” drukowanych we „Wprost” czy w „Księdze mojego miasta” powraca pan do „krainy dzieciństwa”, do tej ziemi, czy jak to pięknie powiadał Kazimierz Wyka, „krajobrazu centralnego”, w którym pan wyrósł. Ludzie tego „krajobrazu”, tego przywiązania pozbawieni – to może być wieś, miasto – są ubożsi, bo brakuje im jakby korzeni. W tym pana nostalgicznym pisaniu czuje się właśnie głęboką potrzebę powrotu do źródeł, do tego co było i co już nie wróci, co jednak u pana trwa niezmiennie...

– Mówi pan: „kraina dzieciństwa”, „krajobraz centralny”, źródła, korzenie. To wszystko się zgadza, jakby nie nazwać. Wprawdzie to miasto było dla mnie miejscem życia bardzo ciężkiego, niewyobrażalnie mozolnego i obfitującego w wiele tragicznych napięć, było nim od najwcześniejszego dzieciństwa aż po graniczny rok 1940, w którym je opuściłem, zdawało się na krótko, a okazało się na zawsze. Ale właśnie wysokie napięcia emocjonalne każą pisać. I rzeczywiście z nich brały się moje pierwociny literackie: z bólu, biedy, tęsknot palących jak ogień. Podobnie moja dzisiejsza pisanina stanowi efekt wysokiego napięcia – tym razem napięcia nostalgii. Pan wie przecież, że „Pan Tadeusz” powstaje zazwyczaj w Paryżu. Ja co prawda poznańskiego

„Pana Tadeusza” nie napisałem, ale trwam każdym swym słowem przy mojej ziemi, teraz tak samo jak wtedy, gdy mając 18 lat pisałem wiersze o Poznaniu. W wieku, który osiągnąłem, trwa się jeszcze mocniej, zwłaszcza z wygnania wraca się każdą myślą do ziemi dzieciństwa i to jest właśnie kwestia powrotu do źródeł czy do korzeni. Może to zresztą trzeba powiedzieć inaczej, ale ja wbrew posądeniom niektórych ludzi nie jestem polonistą i ani nie potrafię, ani nie lubię teoretyzować na temat literatury. Fakt, że owa „kraina dzieciństwa” jest i pozostaje do końca Arkadią, nawet gdy nie miała cech owej cudownej Arcadii antycznej i gdy w niej człowiekowi było źle.

– Ale przecież z tą swoją nostalgią nie jest pan nieszczęśliwy.

– Wracam do Arkadii parę razy w roku fizycznie i przez resztę roku piórem. A przecież po pewnych tarapatkach wrosłem także w inną ziemię, która pejzażem przypomina zarówno krainę jezior przemęckich, nad którymi przez kilka wieków rośli moi przodkowie, jak jezior sierakowskich, wśród których urodził się już mój ojciec, a ja bywałem jako chłopiec w czas wakacji, i wreszcie jezior kórnicko-zaniemyskich, nad którymi chętnie przebywałem w ciągu niejednego lata. Do tej tu mojej obecnej ziemi przybywało w

XIX i na początku XX wieku wielu poznaniaków z misją narodowo-kulturalną, podobną do tej, z jaką tu przybywali liczni osiedleńcy współcześni, a wśród nich i ja.

– Czy to przypadkiem nie w Olsztynie urodziło się w pana głowie pojęcie „ziemi, z której jemy chleb”?

– Widzi pan, czasem dzieje się tak, że ten niepolonista wygląda na polonistę. Otóż, w ostatnim numerze „Kroniki Wielkopolski” ukazał się mój duży szkic właśnie pod tytułem „Ziemia, z której jemy chleb”, traktujący o motywach Poznania i Wielkopolski w prozie beletrystycznej lat powojennych. Ja co prawda ową „ziemię, z której jem chleb” wymyśliłem dla siebie – dla poznaniaka żyjącego w Olsztynie, ale on doskonale pasuje też do poznańskich pisarzy, z których liczni mają swe ziemie rodzinne gdzie indziej, a zresztą ziemia rodzinna jest też tą, z której chleb jemy. Cieszę się bardzo, że Wojewódzka Biblioteka Publiczna podchwyciła tytuł mego szkicu jako hasło konkursu literackiego, którego tematem są książki wielkopolskiego 40-lecia.

Mój drogi, co najmniej połowa dorosłych Polaków żyje dziś poza regionami swego urodzenia. Każdego z nich karmi inna ziemia – ta, która go przytuliła. Tej ziemi winien jest nie mniej niż ziemi rodzinnej.

– Ma pan więc dwie swoje „małe ojczyzny”...

– Tak, ale służę każdej z nich, służąc przecież w ostateczności Polsce. A przez nią służę właściwie największym sprawom świata. Przecież w najbardziej zapadłym jego kącie dzieją się sprawy uniwersalne, największe, takie jak miłość, śmierć, wojna, praca... Nie ma ani w Paryżu czy Moskwie, w Nowym Jorku czy Yokohamie spraw większych lub ważniejszych nad te, które przeżywa stary człowiek albo dziewczyna choćby w Pławcach pod Środą, gdzie parę lat przeżyłem. Gdy to mówię, myślę również o swoim rodzinnym Łazarzu, o mojej ulicy Głogowskiej. To był mój pierwszy świat. Ten, który pozostaje w człowieku na zawsze. On tkwi nie tylko w moich myślach, lecz i w moim sposobie myślenia, w moich ruchach, obyczajach, nawykach, w moim języku, w moim pisaniu. I ot, tu jest odpowiedź na pańskie pytania. Nie zmieni tego wszystkiego fakt, że mieszkałem w kilkunastu punktach Polski, że bywałem w Rosji i Estonii, w Jugosławii i Austrii, w Niemczech i Rumunii.

– Jak to się stało – proszę o szczegóły – że czując tak silne związki z Poznaniem i Wielkopolską, wybrał pan w końcu Olsztyn?

— Proszę nie dziwić się temu co powiem, ale to pan zadaje mi takie pytania, a ja chcę szczerze odpowiadać. Mówił pan wpięrow o miłości do miasta nad Wartą, a teraz pan powiada, że wybrałem inne miasto. Muszę raz narzeczcie jedną rzecz zdementować, choć unikałem tego zawsze, by nie urazić Olsztyna. Otóż moja miłość do Poznania jest wzmocniona przez fakt, że jest to miłość odrąconego. Miłość sieroca. Bo przecież to nie ja poszedłem sobie z rodzinnego miasta, tylko ono się mnie pozbywało.

Oczywiście, za pierwszym razem musiałem z niego uchodzić, by ratować życie: w roku 1940. Nie miałem prawa wrócić do niego pod groźbą śmierci. Ale tęsknota kazała mi któregoś razu przemycić się z Generalgouvernement przez zieloną granicę. Nielegalnie podróżowałem między GG a Rzeszą do Poznania, nielegalnie w nim przebywałem, nielegalnie odbyłem podróż powrotną, a granica była dobrze strzeżona, choćby ze względów prestiżowych i celem wylapywania przemytników. To był ryzykowny skok, z którego musiałem wrócić na wygnanie. Ale też w 1945 przyjechałem do Poznania natchmiast, już w lutym, gdy z Cytadeli wyłazili jeszcze hitlerowcy. Miasto mnie jednak nie przyjęło. Nie mam o to pretensji, bo było zniszczone i nie miałem gdzie mieszkać.

— Co pan wtedy robił?

— Poszedłem na 6 lat na wieś, do powiatu średzkiego, wpięrow do Dominowa. Nie miałem po prostu łokci, by pchać się do domu, do którego miałbym jakieś prawa. Łokci nie mam do dziś, zawsze więcej sił i czasu poświęcałem na działania społeczne i na cudze sprawy niż na własne. Nie szkodzi. Może właśnie dzięki temu, między innymi, mogę chodzić z podniesionym czołem i mam prawo mówienia o moralności.

Ale z Poznaniem to szło mi już dalek tak samo. Gdy w 1951 roku, jeszcze w Pławcach, podniosłem kwalifikacje nauczycielskie i otrzymałem z Ministerstwa Oświaty skierowanie do pracy w szkołach średnich kuratorium poznańskiego, urząd ten odprawił mnie, zapewniając, że w tych szkołach nie znajduje dla mnie zatrudnienia. I to już koniec sprawy. Dalsze szczegóły nie są ważne. Nie miałem wtedy odwagi na to, by z trojgiem dzieci wracać do niepewnego żywota chudego literata bez stałego punktu zaczepienia. Zresztą nie zamierzałem w ogóle chwycić za pióro w epoce stalinizmu...

No i teraz ktoś mi raz po raz stawia pytania, w których podtekście jakbym słyszał zarzut, że uciekłem z rodzinnego miasta, może je nawet zdradziłem.

— Czyżby pan się na mnie pogniwał za to, być może, niedyskretne pytanie?

— Ani na pana, ani na Poznań. Nie należy gniewać się na swoje miasto, na miasto, które się kocha. Rozumiem też to, że wpięrow wypędził mnie z niego okupant, potem tragedia zniszczeń wojennych, wreszcie bezdusność jakiejś jednostki z urzędu oświatowego. A Olsztyn – to znów nie taki wyraźny wybór. W każdej decyzji jest gra splotu motywów pomieszana ze zbiegiem okoliczności. Wybór też, w pewnym stopniu. Dość, że zrodziła się z tego wzajemna miłość. Jem przecież już 30 lat chleb z olsztyńskiej ziemi, należę do grona ludzi „Zasłużonych dla Warmii i Mazur”.

— Czy tam, na tej pięknej ziemi warmińsko-mazurskiej, odczuwa pan „więcej nieba”, jak powiada o prowincji rosyjski pisarz Danił Granin? Nieba, spokoju, szerszego oddechu tak przecież potrzebnych w twórczości piarskiej?

— Dobrze, że pan przypomniał to nasze wspólne już „więcej nieba”. Dla mnie najwięcej nieba jest w małych miasteczkach. Z Poznania już przed wojną fruwałem często do Środy i Zaniemyśla, także do Wrześni. Urodzonego w „nie bardzo podłym mieście” Poznaniu ciągnęło zawsze do takich „dziur”. Pojąłem tę swą skłonność, gdy przed kilkunastu laty zobaczyłem po raz pierwszy cudowne, jakże uroczne miasteczko na prawach wsi, Przemęt, stanowiące gniazdo moich przodków. Chciało mi się wtedy uwierzyć w reinkarnację, w to, że przed kilku setkami lat musiałem tu żyć. Ale też po Poznaniu, to znaczy po roku 1940, pomijając krótkie epizody krakowski i warszawski, żyłem już tylko w wioskach lub małych miastach. W Olsztyńskim zacząłem od Bartoszczy, będących miejscem mego powrotu do pióra, a do Olsztyna przyszedłem też jeszcze jako do małego miasta, choć wojewódzkiego. Ale i tak dużo pisuję w Nałęczowie, Rucianem i gdzie indziej. Olsztyn bowiem nie daje w końcu więcej nieba niż Poznań. Toteż gdy jeszcze przed dziesięciu laty myślałem o powrocie do rodzinnego miasta, a ówczesny prezes poznańskiego Oddziału ZLP Czesław Chruszczewski powiedział „przyjeżdżaj, postaramy ci się o mieszkanie” – wyobraziłem sobie stary Górczyn czy późniejsze Osiedle Warszawskie, gdzie nieba dla mnie byłoby dosyć. Ale to już wtedy były jedynie mrzonki.

A swoją drogą, tak czasem myślę, czy dzięki wypędzeniu nauczyciela z Poznania nie wrócił do niego ten emeryt z piórem w rękę? Miałem po 1939 roku prawie 20 lat przerwy w pisaniu. Czy w Poznaniu nastąpiłby powrót do pióra? Z takimi sprawami nigdy nic nie wiadomo.

— Przeczytałem niedawno maszynopis pańskiej „Drogi do Sestos”. Wracając pan w niej znów do Wielkopolski, do jej bogatej przeszłości, tradycji, do wybitnych postaci, które odcisnęły na niej swój trwały ślad. Jest w tych pismach, korespondencjach, brulionach Marcinkowskiego, Cegielskiego, Szanieckiego, Berwińskiego i innych, nie tylko specyficzny klimat Wielkopolski, nie tylko jej mentalność, ale coś więcej – jej „psychologia”. To piękna książka. I myślę, że przypomina ona nieco serial „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy”.

— Pewnie wydaje się panu, że sprawia mi pan radość tym pytaniem o „Drogę do Sestos”, tymczasem poruszył pan we mnie szczególnie bolesną strunę, bo wiąże się to z jeszcze jednym „odtrąceniem”, których było, proszę mi wierzyć, więcej. Nazwał pan „Drogę do Sestos” czymś w rodzaju „Najdłuższej wojny nowoczesnej Europy”, a przecież mogło, a nawet powinno być odwrotnie.

— Jak to?

— Pisałem tę książkę 7 lat przed wyświetleniem serialu telewizyjnego, jeszcze w czasie zanim Andrzej Twerdochlib myślał o scenariuszu „Wojny”, a więc 9 lat temu. Po napisaniu posłałem maszynopis do Poznania, który wydawał mi się najwłaściwszym miejscem. Wyjaśniłem, że czasem zawieram z wydawcą umowę „w ciemno”, na podstawie konspektu, kiedy indziej zaś jako podstawę do umowy przedkładałem brulion wstępnej wersji książki. Tym razem posłałem właśnie tekst, przeczuwając, że inaczej nie będą chcieli ze mną gadać. I oto po wielu miesiącach zwrócono mi maszynopis pomimo niezłej recenzji wydawniczej, motywując, że wydawnictwo ma zbyt wiele pozycji planowych. Odczytuję dziś to wszystko z domowej dokumentacji, która mi się zachowała. Czy to dziwne, że rzuciłem zwrócony maszynopis do kąta? Jak niepotrzebny grat.

Proszę sobie wyobrazić mnie, może po roku czy po dwóch, siedzącego w podwarszawskim pałacu przy wódcę z Andrzejem Twerdochlibem. Gdańszczanin opowiada poznaniakowi o swoich wielkopolskich studiach, o swoich fascynacjach poznańskością, związanych z przygotowaniem scenariusza. Bolało mnie to, bo pomyślałem sobie, że teraz nie ma już co myśleć o książce, ale nie puściłem przed Andrzejem farby. A swoją „Drogę do Sestos” po powrocie do domu wrzuciłem na samo dno szuflady. Wyjąłem ją długo po zakończeniu wyświetlania „Najdłuższej wojny”. Przerobiłem gruntownie i posłałem do Warszawy. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza kupiła to od

razu. Rzecz jest już po kolejnej próbie. Gotowa książka powinna wyjść pod koniec przyszłego roku, bo LSW jest solidną firmą. „Droga” ukaże się w dziesięć lat od chwili, gdy zacząłem ją pisać, ale niektórzy stale będą sądzić, że jest ona siódmą wodą po Twardochlibie.

– *Książka ma charakter stricte dokumentarny, bo choć apokryficzna, to oparta jest na gruntownych studiach. Sporo musiał się pan nad nią napracować.*

– Materiały miałem w całości w domu. Korzystam ze swej niezłej biblioteki, którą uparcie kompletuję. Nie ma w Polsce drugiego takiego domowego księgozbioru poznańsko-wielkopolskiego, jak mój w Olsztynie, o czym dobrze wiedzą czytelnicy „Expressu Poznańskiego”, czytujący moje „Nowości z dawnych lat”.

Namozoliłem się nad tą „Drogą do Sestos”, wiele trudu włożyłem w stylistyczne opracowywanie tej grupy pastuszy, w indywidualizację języka każdego z nich. Miałem trudny problem: archaizować czy nie? Recenzenci, zamiast pomóc – sprawiali dodatkowe kłopoty. Bo ten z Poznania radził archaizację, ten z Warszawy – nie. Przerobiłem więc wszystko na różne języki różnych dziesiątków lat XIX wieku, uwzględniając nawet zmiany ortografii, potem wszystko z powrotem odkrecałem. I oczywiście, jak zawsze – nie jestem zadowolony z tego co zrobiłem. Tak zresztą bywa z każdą moją książką.

– *Myślę, że do Wielkopolski będzie pan jednak ciężko powracał.*

– Chcę napisać XIX-wieczny romans, który pokazałby piękną miłość Emilii Szanieckiej i Karola Marcinkowskiego. Byłaby to taka wielkopolska „Trędowata”, ale autentyczna i raczej z mężczyzną w roli tytułowej. A więc „Trędowaty”, tyle że tytuł znajdy inny, bo to Marcinkowski był synem szynkarza z poznańskiego przedmieścia, a ona mieszkała w pałacu. I motywacje całkiem inne, bo bardziej ona była gotowa poślubić go niż on ją, a w drodze stawała służba dla ojczyzny, przeżywającej zaborczą tragedię.

Widzi pan, chciałbym i tę książkę dać do druku w Poznaniu i nie wiem, czy to się uda. Jeżeli nie – pójdę znów do Warszawy. Nie szkodzi. Zresztą, zobaczymy, może tym razem ułoży się lepiej.

– *Panie Leonardzie: pozwolił pan, że zadam pytanie stereotypowe, a mianowicie, co aktualnie znajduje się na pana pisarskim warsztacie?*

– Mam teraz taki plodozmiar: ziemia rodzinna – ziemia, z której jem chleb. Kończąc powieść biograficzną o wspaniałym bohaterze – Wojciechu Kętrzyńskim, od którego wzięło nazwę miasto Kętrzyn. To na umowie z olsztyńskim „Pojezierzem”. Jednocześnie leży na moim biurku maszynopis zakończony półtora roku temu: książka „prywatna”, napisana po to, by rozgryźć tragiczną śmierć przyjaciela, zresztą poznaniaka, wspaniałego artysty fotografika i zarazem architekta. Powstała ona na tej zasadzie, że gdy człowiek pisze, to sam sobie rozjaśnia tajemnice egzystencji, podobnie jak nauczyciel uczy się sam ucząc innych. Teraz zastanawiam się, jak z tego autentyku zrobić książkę do druku, bo w obecnym stanie nie nadaje się do publikacji. Ale przyjazny wydawca olsztyński pomoże mi w tym. Może to będzie powieść psychologiczna, a może polityczna? Bo „akcja” toczy się w latach 1980-82, w samym środku ówczesnego piekła polskiego, w którym „bohater” popełnia samobójstwo.

No, ale żeby nie wyglądało na to, że coś zatajam, muszę dodać, że lada dzień sumptem „Pojezierza” ukaże się mój zbiór opowiadań pt. „Narodziny generała”.

I to tyle. Może dosyć jak na 70-latkę... przepraszam, bo 17-latkę. Tyle bowiem lat liczę sobie właściwie już od lat 53. Już widzę, jak mi niektórzy zazdroszczą takiego statusu: bycia nastolatkiem z takim długim stażem i doświadczeniem. A jeżeli pan nie chce mi wierzyć, to proszę w drugiej połowie września przeczytać sobie wywiad, jaki ze mną przeprowadziła redakcja pisma „Warmia i Mazury” z okazji półwiecza mojego grzebania piórem. Tak, bo to już pół wieku mija od chwili, gdy ukazała się – w Poznaniu! – moja pierwsza książka.

– *Piękny jubileusz. Gratuluję panu serdecznie w imieniu tygodnika, który okrasza pan od samego początku swoimi niezrównanymi „Powrotami”.*

– Dziękuję, ale proszę, niech mi pan pozwoli odpowiedzieć na koniec na pytanie nie postawione. No bo mówię tu stale o „odtrąceniu” przez Poznań, a jest to połowa prawdy, a może nawet tylko ćwiartka. Niewiele brak do dziesięciu lat od chwili, gdy dzięki Ryszardowi Daneckiemu z „Expressu Poznańskiego”, a potem dzięki Feliksowi Fornalczykowi z Polskiego Radia i „Kroniki Wielkopolski” zadomowiłem się w świadomości czytelniczej Poznania bardziej niż wcześniej, gdy moje kontakty z rodzinnym miastem były sporadyczne. Reszta dokonała się w ostatnich dwóch latach we „Wprost”, głównie przez „Powroty”.

„Księga mojego miasta” stała się zamknięciem tego etapu. Po niej rozpoczął się następny etap – etap mojej obecności w Poznaniu. Jestem z tego powodu bardzo szczęśliwy, oby tylko coś się nie zepsuło. I żywię głęboką wdzięczność dla Czytelników za ich życzliwe zainteresowanie. Jest to zasługą tematu, nie moją, że czytają moje rzeczy. Wdzięczny też jestem za ich listy, które otrzymuję nie tylko z Poznania, bo rodowici Wielkopolanie pisują do mnie i z Warszawy i ze Śląska i z całej Polski, także z zagranicy, nawet z... Australii. Mam przez to pełne ręce korespondencji, ale ileż warte jest poczucie, że jestem tu znów swój, jak przed półwieczem, gdy jeszcze jako młodzieniec, wypowiadając swe imię i nazwisko, spotykałem się niekiedy z odzewem: „Ach, to pan! Czytałem wczoraj...”

Musiałem powiedzieć to na koniec zarówno Redakcjom jak Czytelnikom. Zwłaszcza to, że od nich nie uciekłem, że wprost przeciwnie, pragnę tkwić wśród nich jak najmocniej.

A nie mogę nie stwierdzić jeszcze i tego, jak bardzo my wszyscy nasze miasto kochamy. Bo przecież w gruncie rzeczy nie o mnie chodzi w tej rozmowie, lecz o tę sprawę, której ja jestem jednym z nosicieli: o nasz patriotyzm. O patriotyzm, który nie jest żadną abstrakcją, lecz żywym uczuciem, wiążącym nas poprzez bliskie sercu, konkretne rzeczy z najbliższego otoczenia, jak ulica, dzielnica, zabytek, własna szkoła, własny zakład pracy, także poprzez nasze przeżycia i naszą pamięć – z całą ojczyzną. Czy wyobraża pan sobie, jak by to było wspaniale, i jak byśmy pięknie i zasobnie żyli, gdyby wszyscy Polacy tak kochali swe najbliższe miejsca, a przez nie Polskę?

Wybaczenie, że się rozgadałem, ale to takie ważne. Za to gadulstwo przyrzekam przemawiać znów w „Powrotach” króciutko, jak do tej pory, nie zaważając wam powierzchni pisma.

– *Dziękuję za rozmowę, ściskam dłoń.*

Rozmawiał EDWARD PAWLAK

NR 40/96
z 30. IX 1984